



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



HELENA BUDZIŃSKA.

(KARTKA ZE WSPOMNIENIŃ DAWNEJ UCZENNICY).

— A czemuż to imienniczka nie opowiedziała rodzeństwu i znajomym o tej, której imię nosi?

— Owszem — rzekła Helenka — powiedziałam im wszystko, co wiedziałam sama. Helena Budzińska urodziła się i wychowała w Warszawie, nauki pobierała na pensji pani Laury. Guérin, potem sama została nauczycielką, wreszcie w r. 1863 założyła pensję, która istniała najprzód na Miodowej, potem na Freta, gdzie chodziła nasza mamusia, później na Długiej, gdzie była ciocia, w końcu na Włodzimierskiej, gdzie kończyła sama nasza kuzynka Zosia. Po zwinięciu pensji w r. 1886 nie znalazła należnego spoczynku; dotknięta bowiem ciężką chorobą, a w końcu sparaliżowana, przez całe lat dziewięć cierpiała okropnie, aż wreszcie dokonała życia 16 stycznia 1895 r. Oto i wszystko, co wiem od mamy. Na pogrzebie myślałam, że coś więcej się dowiem, że ktoś przemówi nad trumną o zasługach zmarłej, ale widocznie żal wszystkim usta zamykał; widziałam tłumy, widziałam wieńce, słyszałam wielokrotnie imię nieboszczki ze czcią wymawiane, ale niczego się o niej nie dowiedziałam.

— Otóż, widzi pani — mówiła Jadwinia — trzeba żeby nam pani co więcej powiedziała. Jakie wrażenie robiła na pani, p. Budzińska w dzieciństwie? Jak postępowała z uczennicami? Jak sama uczyła? Za co ją tak ogólnie kochano?

— Zacznę od ostatniego pytania. Będąc dzieckiem, kochałam pannę Helenę, nie zdając sobie sprawy z przyczyny tego uczucia; teraz przyczynę tę rozumiem: ona pierwszy krok uczyniła do dzieci, kochała je wszystkie w ogólności, a każdą ze swych uczennic w szczególności i tem nas pociągnęła do siebie.

— I nie gniewała się nigdy na panią, tylko ciągle pieściła, na wszystko pozwalała? — pyta Irenka.

— O! moje dziecko, to właściwie byłby dowód braku miłości z jej strony. Ona wcale inaczej okazywała nam swe przywiązanie. Ostrą nigdy nie była, przeciwnie postępowała bardzo łagodnie, ale nie pobbłażała nigdy; żaden nasz błąd, żadna wina nie uszła jej wiedzy i nie uniknęła napomnienia. I mnie przez lat siedm niejedno się dostało; raz usłyszałam naganę za brzydkie i niestaranne pismo, drugi raz za śmiech, lub płacz nie w porę, raz panna Budzińska spaliła mi brulion

— Pani droga, mamy prośbę. bardzo wielką prośbę — zawołał chór głosów dziecięcych i w jednej chwili otoczyło mnie całe grono moich uczniów i uczennic, do których przyłączyły się nadto ich kuzynki i znajome. Było to bardzo młode towarzystwo, bo najstarsi jego członkowie liczyli po lat 15, najmłodsi nie skończyli jeszcze siedmiu.

— Cóż takiego, moje dzieci?

— Proszę nam opowiedzieć o tej pani, co niedawno umarła; nasza mama była u niej kiedyś na pensji i nawet wczoraj była na pogrzebie z Helenką, a mnie to wziąć nie chciała — mówiła z żalem 10 letnia Jadwisia.

— O pannie Helenie Budzińskiej zapewne chcieć usłyszeć?

— O tak! Pani nam mówiła, że u niej kończyła pensję tak samo, jak panna Leonia, do której teraz chodzi Zosia i nasza ciocia, i Stefcia kuzynka, i dawna nauczycielka Józia także, a wszystkie panie tak ją kochały, z takim żalem ją wspominają; mówiła nam to Helenka, której mama nawet, skutkiem przywiązania do swej przełożonej, dała to imię.

w którym były wiersze wymierzone przeciw jednej z nauczycielek, a wielu podobnych wypadków już nie pamiętam. Ale takie okoliczności, przykre na razie, nie osłabiały naszego przywiązania, bo panna Budzińska nie przedstawiała się wyobraźni dziecięcej w postaci zwierzchniczki niedostępnej dla podwładnych, nieznannej im i nie znającej ich wcale, tylko ukazującej się od czasu do czasu, aby wymierzyć sprawiedliwość. Pannę Helenę widziałyśmy co dzień i co godzinę i we wszystkich ważniejszych sprawach pensyi nie dała się nikomu wyręczyć; niezależnie od obowiązków przełożonej dawała lekcje francuskiego języka, a czasem i innych przedmiotów, zastępowała nieobecnych nauczycieli, pomagała księdzu w przygotowaniu małych dziewczynek do pierwszej spowiedzi, czytywała i rozmawiała chętnie ze starszemi uczennicami, interesując się wszystkim, co ich dotyczyło. Zdaje się, że odnośnie do pensyi miała pamięć wyjątkową; o każdej ze swych wychowanek wiedziała wszystko, pamiętała ich cenzury za cały czas pobytu na pensyi, postępy w każdej nauce w szczególności, niepowodzenia i tryumfy szkolne, każdy bardziej charakterystyczny postępek w stosunku do koleżanek, lub nauczycielek. W prawdziwe zdumienie umiała nas wprowadzić, gdy przypominała np. odpowiedzi, które dałyśmy przy egzaminie wstępnym i nieledwie każdy błąd, jaki która zrobiła w dyktandzie, każde wypracowanie, które jej się udało. Pamięć ta widocznie miała źródło w uczuciu; jak zaś musiała być silną, tego dowodzi fakt, że przetrwała do ostatnich chwil życia. Na tydzień przed śmiercią odwiedziła ją jedna z uczennic i czy uwierzycie? panna Helena nietylko ją od razu poznała, nietylko wypytywała o koleżanki, o siostry i braci jej, ale nawet przypominała jej szczegóły egzaminu do klasy trzeciej. Jakże miałyśmy jej nie kochać, gdy ona w każdej chwili o nas tylko myślała?

— A lekcje jej pani lubiła? czy ładnie wykladała? Czy dużo zadawała? łatwo dawała stopnie? Czy uczennice z jej wykładów dużo korzystały? — posypał się cały grad pytań z ust moich małych słuchaczy.

— Co do lekcji panny Heleny, to muszę wam przede wszystkim powiedzieć, choć nie wiem, czy zrozumiecie dokładnie, że dla mnie główna ich wartość polegała nie na ilości słówek i reguł gramatycznych, których nas nauczyła, ale na sposobie, w jaki to czyniła. Jeżeli teraz próbuję odtworzyć sobie w pamięci, który wykład, to zupełnie nie mogę sobie przypomnieć ani co było zadane, ani kto wydawał, ani jaki otrzymałam stopień, bo zadawanie, wysłuchiwanie, dawanie stopni to były zupełnie drugorzędne okoliczności, gdy chodziło o lekcję naszej przełożonej. Natomiast umysł przechował najdokładniej wrażenia, jakie te lekcje wywierały, uczucia i myśli, jakie budziły w główce małej dziewczynki, a potem podlotka.

Więc widzę naprzód pannę Helenę, jak wchodzi do klasy, niosąc w jednej ręce koszyk z robotą, a w drugiej jaką książkę. Bez roboty i bez książki nigdy jej sobie nie mogę wyobrazić, ile zaś razy o tem myślę, postać jej staje mi przed oczyma, jako uosobienie ideału prawdziwie dzielnej kobiety, umiejącej pogodzić obowiązki swego zawodu z robotami ręcznymi, z poważnymi studjami naukowymi w pewnym określonym kierunku. Panna Budzińska miała prawdziwe uzdolnienie w kierunku filologicznym, znajomość swą języka francuzkiego nieustannie rozszerzała, sama też uczyła się łaciny, a w ostatnich latach życia studyowała podobno angielski. W dzieciństwie z ust

jej słyszałam: „Gdyby mnie zamknięto w więzieniu, albo rzucono na pustyni, byle mi pozostawiono moje słowniki, nie czułabym się nieszczęśliwą.” Rozumiecie chyba, moje dziewczynki, co przez to chciała powiedzieć: Największe osamotnienie i smutek najgłębszy osłodzić może praca umysłowa, badanie jakiejś nauki, lub sztuki. Ileż to razy w życiu późniejszym przekonywałam się o słuszności tego zdania i jakże błogosławiłam mych wychowawców, że takie zasady wpajali we mnie w dzieciństwie.

Ten zapal, ożywiający nauczycielkę, udzielił się też i nam t. j. wszystkim zdolniejszym, chętniejszym do nauki uczennicom, gdy reszta klasy była obojętną; ale i na tę resztę ospałą, apatyczną, lekcje panny Heleny wywierały wpływ doniosły.

— Jakiż to wpływ, proszę pani — spytała Tola zaciekawiona — przecież jeżeli one nie interesowały się nauką, to mogły tylko przygotować zadaną lekcję, ale po wyjściu z pensyi nie wiele nawet z tego spamiętały. Wszakże pani mi kiedyś mówiła, że kto się uczy dla tego jedynie, aby dobrze lekcję wydać, prawdziwego pożytku z nauki nie odnosi.

(d. n.)

W pustyniach Australii.

PRZEZ

Włodysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

— Uspokój się doktorze — przerwał Dugan zaperzonemu Halmowi... — Nie miałem bynajmniej zamiaru nadużywać niczyjej dobrej wiary... To, com powiedział, jest najzupełniejszą prawdą, którą sam możesz stwierdzić, jeżeli tylko zapragniesz.

— Ależ przesadzoną do niemożliwości!

— Bynajmniej; gdyby nasza droga nie przecinała tego pasma, moglibyśmy iść równolegle do niego i przekonać się naocznie; taka sposobność nie nadarzy się nam jednak, gdyż mrówki stawiają zawsze swe siedziby w prostej linii z północy na południe.

— Zawsze? — powtórzył Abel, który, będąc wychowanym w mieście i na fermach, mało znał przyrodę Australii.

— To znowu coś nowego dla mnie! — rzekł doktor; — sądzę jednak, iż mrówki zbaczają czasem od tego kierunku; możemy więc spodziewać się, iż natrafimy na...

— Nigdy nie zdarzyło mi się zauważyć tego — odparł Dugan; — przeciwnie, staranne pomiary z busolą i sekstansem dowiodły, iż owady te, dzięki swemu niepojętemu instynktowi, trzymają się ściśle południka astronomicznego.

— Dla tego to u nas w Australii pasma takie nazywają się „merydionalnemi”.

— Mrówki są więc, jak się pokazuje, zdolnymi astronomami — wtrącił Jerzy.

— Niezawodnie — mówił dalej Dugan. — Na uwagę zasługuje i ta okoliczność, iż nigdy nie budują one nowych gniazd, lecz tylko reperują stare i to z zadziwiającą szybkością. Istnieją niejaki dowody, iż stożki, które widzimy obecnie, liczą już parę tysięcy lat wieku. Są to niezniszczalne grody, w porównaniu z którymi nasze wielkie miasta wydać się muszą bardzo znikomem dziełem.

— *Wunderbar, höchst wunderbar!* — mrucał doktor, słuchając w głębokiem zdumieniu.

— Liczba stożków, wchodzących w skład takiego szeregu, długiego na 70 mil, musi być olbrzymią — rzekł Jerzy.

— Ba! Obrachuj sobie. Jedno gniazdo od drugiego leży przecięciowo o 23 metry, a szereg ma, dajmy na to, 120 kilometrów.

— W takim razie byłoby w nim 5,500 gniazd! — zawołał chłopiec, dokonawszy w pamięci obliczenia. — Hm, hm, to w całym Sydney nie ma tyle domów.

— A có? Trudno temu uwierzyć... Mieszkańców tego mrówczego grodu należałoby może liczyć na miliardy.

Nie masz pojęcia, doktorze — dodał podróżnik, zwracając się do Halma — jakie szkody wyrządzają nam te drobne owady, których w Queenslandzie samym spotykamy kilkanaście odmian. Żarłoczność czarnych mrówek jest zaiste niesłychana, bajeczna! Nieoszczędzają niczego, i przyprowadziły w swoim czasie do rozpaczliwego towarzystwa, które podjęło się zbudować linię telegraficzną w poprzek łąd, z południa od Adelaidy na północ do Port Darwin; niszczyły bowiem słupy, sporządzone z najtrwalszego, eukaliptowego drzewa; musiano je robić w końcu z rur żelaznych; gatunek białych mrówek nie jest tak żarłocznym, ale za to mnoży się z zastraszającą szybkością; przekonano się, iż jedna samica znosi w przeciągu doby osmdziesiąt tysięcy jajeczek; gdyby nie pewne owady, ptaki i jaszczurki, które je tępią masami, to nie wiem, doprawdy, jakbyśmy sobie z nimi dali radę.

Trzeba panu wiedzieć, iż mamy na nie bardzo skutecznego środka, którego spróbuję zaraz, jeżeli pan zechcesz.

— I owszem; oddasz pan zarazem, przysługę swojemu krajowi — odparł Halm. — Jakiż to środek?

— Sublimat gryzący. Ta rtęciowa sól ma własność przyprowadzania mrówek o szaleństwo, w napadzie którego tępią się same pomiędzy sobą. Zaraz pan zobaczysz.

Rzekłszy to, Dugan wydobyl ze swej podróżnej apteczki chłornik rtęci w proszku, i posypał nim kolumnę mrówek, wychodzącą właśnie z najbliższego gniazda.

Skutek objawił się natychmiast; owady zaczęły się kręcić na jednym miejscu, jak oparzone; odróżni, nachyliwszy się nad nimi, widzieli dokładnie ich rozpaczliwe ruchy. Niebawem mrówki rzuciły się na siebie z wściekłością, jęły kąsać się wzajemnie...

Cała kolumna zamieniła się w jeden kłęb, w którym trudno było rozpoznać walczących przeciwników.

W kilkanaście minut potem większa część mrówek pozostała na placu, bez życia, reszta, poraniona silnymi szczękami towarzyszek, wlokła się z trudnością wpośród trupów, żeby skonać gdzieś o parę kroków dalej.

— W istocie, jest to doskonały sposób, tylko cokolwiek barbarzyński — rzekł doktor. — Biedne stworzenia szaleją z bólu, jaki sprawia im sublimat...

— Trudno — rzekł Dugan; — inne środki nie są łagodniejsze, a działają nie tak skutecznie. Nie możemy cofać się przed niczem, kiedy chodzi o zwalczenie wroga, który zagraża naszemu bytowi.

Pan Fryderyk Halm musiał przyznać, iż wszystkie powyższe szczegóły były dlań zupełnie nowymi, co zresztą wcale nie uwłaczało jego głębokiej wiedzy w zakresie entomologii.

Nasi podróżni poświęcili całą godzinę czasu na zbadaenie mrówczego grodu i udali się w dalszą drogę wtedy dopiero, gdy doktor znajdował się już w posiadaniu kilku pięknych okazów jaj, poczwerek i dorosłych owadów, oraz zapisał do dziennika swe ciekawe spostrzeżenia.

Podróż odbyła się pędzej, aniżeli spodziewano się na razie; od godziny 6-tej rano do wieczora przebyto pięćdziesiąt kilometrów z małym, godzinnym wycieczkiem w południe; marsz ten nie był widocznie utrudniającym ani dla koni, ani dla wielbłądów. Wszyscy członkowie wyprawy, nie wyłączonej Hopa, znajdowali się w bardzo dobrym humorze i nie czuli bynajmniej znużenia.

Jerzy, zsiadłszy z wielbłąda, objawił nawet chęć zapoławania w sąsiedztwie biwaku.

— Jesteśmy zmuszeni jeść już soloną wołowinę — rzekł; — niebardzo lubię, co prawda, ten przysmak; pójdę więc z dubeltówką w tamte zarośla, dotykające prawego brzegu rzeki; może mi się uda zastrzelić choćby jakiego ptaka na kolację. No, jakże z twemi nogami? Hop — dodał zwracając się do wyżła; — czy będziesz mi towarzyszył?

Pies, ujrzawszy swego pana, biorącego broń do ręki, zaszczekał wesoło, oświadczając swoją gotowość.

— Powrócę niezadługo, kochany wuju — rzekł chłopiec — i spodziewam się, że nie z pustemi rękoma.

— Tylko nie zbłądź o zmroku! — zawołał w ślad za nim Dugan.

— Och! niema obawy! ogień i dym z naszego biwaku posłużą mi za wskazówkę — odparł Jerzy.

O pięćdziesiąt kroków od miejsca, gdzie rozłożyła się na nocleg karawana, rosły drobne krzewy, z pośród których strzelały w górę tu i owdzie, wysokie i rozłożyste drzewa herbaciane, których liście są używane do przyrządzania dość smacznego napoju. Dalej jeszcze, tuż nad rzeką, zaczynał się gąszcz karłowatych eukaliptusów i akacyi, gdzie lubią przebywać ptaki. Tam więc zwrócił swe kroki młody myśliwy.

Przez kilkanaście minut daremnie upatrywał jakiegokolwiek bądź żywej istoty; zarośla, jak się zdawało, były zupełnie pozbawione mieszkańców. W końcu jednak chłopiec usłyszał głos jakiegoś ptaka i ostrożnie zaczął się skradać, aby go zejść niespodzianie...

Zrobiwszy z pięćdziesiąt kroków, ujrzał na ogołocionem z trawy miejscu kilka sporych, zaokrąglonych wzgórków, ułożonych bardzo zręcznie z trawy, liści i ziemi. Na jednym z nich siedział ptak, wielkości kury, ozdobiony ładnym czubkiem na zgrabnej głowie.

— Aha, to kura dzunglowa — mruknął Jerzy, zdejmując z ramienia dubeltówkę.

Zanim jednak zdążył strzelić, ptak, do którego celował, zniknął pomiędzy korzeniami sąsiedniego drzewa.

Zawstydzony swą powolnością, myśliwy upatrywał innego celu, ale nie znalazł go nigdzie.

— Niedołęga ze mnie — rzekł; — nie zawadził przecie poszukać jaj, które muszą się tutaj znajdować,

Postawiwszy broń pod poblizkim eukaliptusem, Jerzy podszedł do jednego z kopców i zaczął go rozgrzebywać rękoma. Wiedział on, że kura dzunglowa, nazywana przez tuziemców *żyranau*, nie wysiaduje swych jaj, podobnie jak inne ptaki, lecz umieszcza je w usypianych przez siebie stosach trawy, która, rozkładając się powoli na powietrzu, wydaje ciepło, niezbędne do wylęgu piskląt.

Jeden kopiec służy za gniazdo kilku samicom naraz; Jerzy znalazł więc niebawem cały mendel ogromnych jaj, i napełnił nimi po same brzegi swą torbę myśliwską. Zadowolony z tej zdobyczy, postanowił wracać; podniósł się więc, ażeby wziąć swą strzelbę.

Zaledwie zarzucił ją na ramię, gdy posłyszał po za sobą szelest; odwróciwszy się, ujrzał o dwa kroki olbrzymiego, starego kangura, który, stojąc na tylnych łapach, patrzył nań ciekawemi oczyma.

Zanim chłopiec opamiętał się, zwierz poskoczył ku niemu jednym susem, pochwycił go w przednie łapy i uniósł.

Odbyło się to tak nagle, iż nasz myśliwy nie miał czasu użyć swej strzelby; czuł on z trwogą, iż zwierz bieży z nim w podskokach, ku rzece; starał się wyrwać z jego objęć, lecz, nie mając wolnych rąk, nie mógł tego dokonać, pomimo rozpaczliwych usiłowań; kangur ścisnął go mocno, i jak się zdało, ani myślał wypuścić...

Hop, będący świadkiem tego zuchwałego napadu, rzucił się w ślad za zwierzęciem, szczerkając zajadłe, i dopadłszy, chwycił zębami za gruby ogon.

Ukąszony boleśnie kangur, zatrzymał się nagle i odrzucając go kilka kroków od siebie chłopca, zwrócił się do psa, starając się go złapać.

Hop jednak miał już nieraz do czynienia z kangurami i unikał zżęcznie pazurów, nie przestając ujadać.

Tymczasem Jerzy, przyszedłszy do siebie po gwałtownym upadku na twardą ziemię, podniósł się powoli i machinalnie sięgnął po dubeltówkę, aby położyć koniec szermierce pomiędzy olbrzymim torbaczem a swym psem.

Na nieszczęście nie znalazł na ramieniu broni, którą musiał upuścić w chwili, gdy nań napadł kangur.

— Do nogi, Hop! — zawołał, rozglądając się dookoła. — Wyżeł nie usłuchał jednak; zagrzany walką, rzucił się w poгон za kangurem, który, ujrawszy podnoszącego się Jerzego, zaczął uciekać wielkimi susami ku rzece.

Niebawem chłopiec dostrzegł swą dubeltówkę w trawie i, schwyciwszy ją, pobiegł szybko w stronę, skąd było słychać zajadłe szczekanie Hopa.

(d. c. n.)

OKRUTNA ROŚLINA.

W Brazylii rośnie wcale ładna roślina, która nieraz wije się w ogrodach tamtejszych po ścianach altan. Nie mamy dotąd dla niej nazwy w polskim języku, musimy zatem posługiwać się nazwą łacińską, *Physianthus albens*. Kwiaty *Physianthus* odznaczają się szczególnej budowy pręcikami, których pylniki ząbkowane twardnieją w miarę dojrzewania owocu i tworzą rodzaj miniaturowych szczypczyków. Motyle zwabione wonią białego kwiatu, zapuszczają węń trąbki by nakarmić się miodem. Jeśli motyl jest silny, a takimi zwykle bywają motyle brazylijskie, wtedy bez szwanku opuszcza roślinę. Lecz niech zbliży się do zdradliwego kwiatu słabszy owad, wtedy zapuszczonej trąbki nie zdoła wyrwać z twardej pylnikowych szczypców i umiera wisząc u kwiatu. Kilka takich nieszczęśliwych motyli przedstawia nasza rycina.

Physianthus uśmierca w ten okrutny sposób mnóstwo ofiar, bez żadnego dla siebie pożytku. Nie można więc zaliczyć go do roślin mięsożernych, jak np. rosziczkę, tłustosza, o których wspominaliśmy już w poprzednim roczniku *Wieczorów*.

A. M.



Okrutna roślina.

pozwalano biegać, by się nie zmęczył, a następnie nie zaziębił.

Pewnej nocy, gdy pan Mierznicki był nieobecny i wszyscy w głębokim śnie pogrążeni byli, pani Mierznicka obudzona została przez mocny zapach dymu i spalenizny dochodzący do jej pokoju. Zerwała się na równe nogi i zapaliwszy spiesznie świecę, ujrzała małe obłoczki dymu przedostające się przez zamknięte drzwi. Włożyła spiesznie suknię i pantofle, otworzyła drzwi i znalazła się w ciemnicy, spowodowanej kłębamii dymu napełniającymi pokój przyległy. Ogarnął ją przestach wielki, ale natychmiast powiedziała sobie, że trzeba jej być przytomną za siebie i oddalonego męża.

W pokoju, w którym teraz się znajdowała, wśród duszącego i gryzącego w oczy dymu, nie było jeszcze ognia, ale gdy się zbliżyła do okna spostrzegła złowrogą lunę pożaru. Widocznie może dach lub jedna część domu była już w płomieniach. Słysząc było trzask płonącego ognia, zresztą cisza była zupełna. Widocznie w domu wszyscy spali, a ona pierwsza się obudziła. Przebyła salon i stołowy pokój, wbiegła do kredensu gdzie sypiał lokaj. Tam dymu było jeszcze mało. Z trudnością dobudziła się ospałego Jana, potem pobiegła do pokoju Elżuni, gdzie nietylko zastała dym, ale liżące zewnętrzne ramy okna płomienie.

W chwili, gdy z krzykiem stawiała dziewczynkę na nogi, szyby zaczęły pękać. Porwała więc Elżunię poczynającą zanosić się od kaszlu. przy nagłym wtargnięciu dymu i wpadła do pokoju, w którym sypiał Broniś. Świecę, którą niosła, zgasił podmuch wiatru, teraz więc znalazła się w zupełnych ciemnościach, wśród duszącego i coraz silniejszego dymu. Po omacku dostała się do łóżeczka Bronisia, ale przypomniawszy sobie,

że zaziębienie groziło mu chorobą, otuliła go w koldrę, jak mogła najstaranniej i wołając na Elżunię, by szła za nią, rzuciła się ku drzwiom.

— Trzymaj się mojej sukni — wołała, postępując ostrożnie z ciężkiem dzieckiem ośmioletniem na rękę.

Po przez ciemne, jak noc pokoje szła jak mogła najspieszniej, widząc od czasu do czasu czerwony blask płomieni, który wszakże nie oświecał wcale, bo dym czarną lawą słał się wszędzie tamując oddech. Dzieci kaszlały, matka nakazując sobie przytomność, wstrzymywała się od kaszlu jak mogła. Biegła przez całą długość domu, tracąc już przy końcu siły i przytomność. Dostała się wreszcie do przedpokoju, gdzie ściany już palić się zaczynały, ale drzwi, widocznie przez lokaja otworzone, dawały wolne przejście do ganku. Odetchnęła świeżem powietrzem i biegnąc ciągle, chciała Bronisia zanieść do oficyny, by go złożyć w miejscu zabezpieczającym go od zaziębienia. Na swej drodze spotkała biegnących ludzi, nauczyciela z Franiem, lokaja. Wszyscy byli nawpół przytomni, nie wiedzący co czynić. Z za ogrodu dał się słyszeć głos tubalny ekonomy:

— Budzić parobków, dziewczki! Nosić wodę ze stawu! Chłopi niech biorą siekiery, baby konewki!

Pani M. złożyła Bronisia na łóżku kucharki, która dla

ONA

OPOWIADANIE

przez Zofię Kowerską.

(Dokończenie).

Broniś powracał do sił z każdym dniem widoczniej. Wstawał już teraz na kilka godzin dziennie, bawił się, malował, rysował, tylko mu zabraniano wychodzić z pokoju i nie



Bal kostiumowy.

czeladzi gotowała. Chłopczyk objął ją za szyję i poraz pierwszy serdecznie ją ucałował. Uśmiechnęła się do niego, potem wybiegła na podwórze. Domownicy znajdowali się na niem wszyscy, oprócz panny Kruścickiej i Elżuni, nagle usłyszano krzyk przeraźliwy. Nauczycielka chciała na dół skoczyć z okna na górze, gdzie miała swój pokój. Nadbiegł właśnie energiczny ekonom, który na nauczycielkę począł krzyczeć rozkazująco, by nie śmiała skakać przez okno, jednocześnie wołał o drabinę. Pani Mierznicka zrozumiała, że ten przytomny człowiek uratuje pannę Kruścicką.

Ale gdzie Elżunia?

— Elżuniu, Elżuniu! — krzyknęła głosem przerażenia i grozy pełnym.

Milczenie.

— Gdzie się ona podziała? O Boże, trzymała się mej sukni!...

Płomienie przedostawały się już na zewnątrz wszystkimi oknami i drzwiami. Widocznem było, że dom uratowanym nie zostanie.

Pani Mierznicka wskoczyła nagle do beczki z wodą stojącej pod rynną i zanurzyła się w niej cała z głową. Potem wbiegła do domu pełnego płomieni.

Wśród ludzi biegnących po dziedzińcu rozległ się okrzyk najwyższego przerażenia.

— Zgubiona! — zawołał pan Wasiewicz.

Franio głośno płakać zaczął...

— Mamo! — wołał. — Co mama robi! O, Boże, mama się spali!

Zapanowała teraz wśród obecnych chwila złowrogiego milczenia. Ekonom, który po drabinie zniósł pannę Kruścicką, zapomniał o komendzie i stał także z oczami wlepionymi w buchające płomieniami drzwi, w których znikła pani.

— To by trza szalonego, żeby za nią poszedł! — mruknął wreszcie, a potem krzyknął na cały głos:

— Cóż się gapita! Wodę ze stawu nosić! A wy chłopcy włączyć mi na dach oficyny, żeby choć to uratować!

Pomimo tego głosu, który o piorstę słyhać było, nikt się nie ruszył. Wszyscy byli zdrtwiali z grozy i litości nad kobietą, która po śmierć poszła w płomień.

Nagle znowu rozległ się okrzyk ze wszystkich piersi. Była w nim radość, podziw, zdumienie. Pani Mierznicka bezprzytomna, z palącymi się włosami, z zajmującą się suknią, z poparzonemi rękami i twarzą, z zemdloną Elżunią w ramionach, wybiegła jak szalona z płonących drzwi. Nie wiedziała co robi, biegła przed siebie i nagle padła na dziedzińcu nawpół udużona przez dym, i nie będąc w stanie kroku jednego dalej postąpić. Ekonom wylał zaraz konewkę wody na jej płonące włosy i suknię. Poczęto ratować ją i Elżunię, zaniósłszy obie do oficyny, gdzie na dachu siedzieli już parobcy, którym kobiety po drabinach donosiły wodę. Iskry padały oficie na dach, który się już miejscami zajmować zaczynał, ale ekonom krzychał coraz mocniej, ludzi zbiegało się coraz więcej, przybyli gospodarze i młodzi parobcy ze wsi. Im więcej sypało się iskier na dach oficyny, im dach wysychał prędszy i zajmował się łatwiej, tem więcej lano wody, tem ratunek był prędszy i porządniej prowadzony. Wreszcie dach domu mieszkalnego zapadł się z wielkim trzaskiem i wtedy poczęto też zalewać nimowisko. Gdy w kilka godzin później przyjechał pan Mierznicki, zastał już z domu swego tylko dymiące się zgliszczą.

— A ludzie wszyscy uratowani? — zapytał, czując, że mu włosy na głowie powstają, na myśl o żonie i dzieciach.

— Wszyscy — odpowiedział ekonom — tylko pani i panienka trochę poparzone.

— Gdzie są? — zawołał pan Mierznicki.

— W oficynie, do usług jaśnie pana!

Pan Mierznicki biegł do oficyny, przerażony i niespokojny. Zastał tam Elżunię bladą, osłabioną, trochę poranioną, ale przytomną i żonę z mocnymi wypiekami na poparzonej twarzy, rzucającą się na łóżku i mającą w gorączce.

— Doktora! Czy posłano po doktora? — zawołał pan Mierznicki.

Wypadł na dziedziniec i wydał rozporządzenia furmanowi. Potem wróciwszy począł wypytywać Elżunię, jak się to stało i co spowodowało stan jej i matki.

Elżunia płakać poczęła. Była osłabiona, cierpiąca, pan Mierznicki ledwie mógł zrozumieć co mówiła. Z jej opowiadania dowiedział się, że prowadzona przez panią M. nosząc Bronisia na ręku, chciała prędszy dostać się na świeże powietrze, uważała bowiem, że pani M. idzie bardzo wolno. Pobiegła więc naprzód, ale widocznie zabłądziła wśród ciemności i pamiętała tylko, że się potknęła o próg, czy jakiś przedmiot leżący na ziemi i upadła. Chciała się podnieść, biedz dalej, ale nagle dym stał się gęstszym, zakaszła się i już dalej nie wie i nie pamięta co się z nią działo. Obudziła się dopiero tu, w pokoju szafarki, cała mokra od wody, którą ją zlewali.

Szafarka stojąca przy łóżku, na którym leżała Elżunia, podjęła się dalszej opowieści.

— To pani wyniosła panienkę z płomieni! — mówiła, rada widocznie, że jej przypadła w udziale przyjemność zaznajomienia pana ze stanem rzeczy. — Tak, proszę pana było. Położyłam się dosyć późno, bo mi cięle było chore od tej lusej krowy...

— Ale do rzeczy, do rzeczy! — zawołał pan.

— Więc ledwo usnęłam leciutko... ale, że to ja nie mogę spać, jak księżyc w okno świeci...

— Ach, niechże pani mówi prędszy!

— Więc zasłoniłam okno grubą chustką, proszę jaśnie pana. Tak ciemno u mnie, ja leciutko śpię, aż tu słyszę jak kucharka woła: „Jezus. Marya, Józefie święty! Myślałam, że przez sen; tak krzyczę: „A cicho, ludziom spać nie dajesz!”

Aż tu już wyraźnie głos jaśnie pani do mnie dochodzi: „Tyłko go okryję, bo się zaziębi!” Zrywam się na równe nogi, odkrywam okno, aż tu dwór w płomieniach. Tak ja opasałam spódniczyne, porwałam kaftaniczyne i lecę na dziedziniec. Tam już i ekonomu nadbiega i ludzi garstka kręci się; sami nie wiedzieli co mają robić. Tu gubernantkę znoszą po drabinie z góry, a jaśnie pani woła panienki. Nikt nie odpowiada, tak jaśnie pani hyc w bezczę z wodą, a potem jak nie skoczy w drzwi! A tu buchają płomień i dym. Tak mi wszyscy myśleli, że jaśnie pani już ztamtąd nie wróci. A ja se tak mówię: „Mój Boże, taka młoda i taka bogata pani, a światu nie użyje, tylko się musi spalić niebożatko, jak nieprzymierzając cna w świecy. Nie szkoda to młodości i tej wyprawy! Mój Boże, tyle bielizny, tyle sukien i tego wszystkiego nie znosi! Trzeba jej ginać w kwiecie wieku! Chyba, że ją anioł stróż uratuje! Zaczęłam mówić: „Kto się w opiekę poda Panu swemu”, a tu z ognia wypada jaśnie pani z panienką na rękach, ale taka straszna, osmalona, poparzona, bez nijakiej przytomności, pędzi przed siebie sama nie wie gdzie, my się rozstępujemy, a ona buch, jak długa na ziemię z panienką! Aż tu dopiero ekonom, jak nie lunie na jaśnie panią wodą! Włosy były mokre, ale się już do końca paliły, a i suknię także. Jedna noga co była w pantoflu to nie poparzona, ale druga, proszę jaśnie pana, to jedna tylko rana. Jaż doświadczona! Zaraz w kwaśne mleko nogę jaśnie pani włożyłam...

Elżunia płakała coraz mocniej. Pierwszy raz słyszała opowieść cudownego swego uratowania od pewnej śmierci. Teraz już sunienie nie odzywało się, ale krzychało w jej piersi:

— Tyś pod nią dołki kopała, prześladowałaś ją na każdym kroku, chciałaś zniweczyć jej spokój, jej szczęście, a ona jak się na tobie zemściła?

Pan Mierznicki z niepokojem najwyższym patrzył na żonę, przemawiał do niej, myśląc, że go usłyszy i zrozumie, ale była zupełnie bezprzytomna. Doktor rozpoznał zapalenie mózgu. Biedna kobieta mówiła o rzeczy i nie czuła nawet, gdy jej rany wynikłe z poparzenia opatrywano. Ta noga przedstawiała prawdziwe niebezpieczeństwo. Lekarz obawiał się, by nie była potrzebna amputacja.

Rozpoczęły się teraz dla Litowa straszne dni, znane tym, którzy drogą sobie osobę widzieli na łożu śmiertelnem. Pan Mierznicki dnie i noce spędzał przy żonie; co chwila zjawiała się przy niej jak cień blada Elżunia. Było coś przejmującego do głębi w wyrazie twarzy dziewczynki. Wlepiała wielkie, przerażone oczy w oblicze chorej, lub cicho kłękała w nogach łóżka i pozostawała tak godzinami całemi. Gdy doktor przemawiał, zdawała się zawieszona u jego ust, bez tehu słuchająca wyroku.

W parę dni po pożarze pan Mierznicki pytał z trwogą o stan żony.

— Nie oszczędzaj mnie, doktorze — mówił — nie cierpię kłamstwa, nie lubię się łudzić... chcę wiedzieć całą prawdę!

— A więc... jest tak źle, że cud tylko ocalić ją może.

Ledwie tych słów dokończył lekarz, usłyszano z kącika za łóżkiem, gdzie kłęcała Elżunia jęk bolesny, a potem gwałtowne łkanie. Pan Mierznicki zbliżył się do córki, podniósł ją i ucałował tak, jak tego już oddawna nie czynił. Elżunia schroniła się na łono ojca, przyciskała się do jego piersi, potem okrywała pocałunkami jego ręce. W tej dumnej i zawziętej duszy nastąpił przełom. Pod wpływem wielkiego żalu i ciężkich wyrzutów sumienia, serce dziewczynki zmiękło i oto nie pamiętała już o dawnych swych uporach i miłości własnej, płakała łzami głębokiego żalu za grzechy i pokory, która się poraz pierwszy w jej uczuciach pojawiała.

— Ojczulek mię nie nienawidzi? — szepnęła.

— Miałbym cię nienawidzić? Za co?

— Za to, że ja ocalała, a ona umiera!

Ostatnie słowa wyrwały się z piersi Elżuni jak krzyk boleści.

— Oddałabym za nią życie, oddałabym zaraz! — dodała z wielką siłą.

— Módlmy się, prosmy Boga, On jest miłosierny! — rzekł ojciec.

W kilka dni potem, w chwili, gdy wszyscy zgromadzeni byli w pokoju chorej, którą miano za konającą, w chwili, gdy proboszcz modlił się głośno, klęcząc na środku pokoju i miał właśnie rozpocząć modlitwy za konających, chora ocknęła się, jakby ze snu, spojrziała przygasłym wzrokiem w około i zatrzymując wzrok na twarzy męża, zapytała cicho:

— Gdzie ja jestem?

Elżunia wzruszona, pełna trwogi, nieszczęśliwa i zrozpaczona, nie była w stanie znieść spokojnie wstrząśnienia, które na nią spłynęło z pierwszym przytomnym odezwaniem się pani M. Zapłakała głośno.

— Kto tu płacze? — spytała chora.

Ksiądz podniósł ręce do nieba i głosem wzruszonym zawołał:

— Boże wielki, miłosierny, dzięki ci za jej ocalenie!

Cała rodzina zbliżyła się teraz do łóżka chorej. Ona nie zupełnie jeszcze świadoma i bardzo osłabiona zapytała:

— Czy ja jestem w Warszawie?

Elżunia runęła nagle na kolana przy łóżku chorej i zawołała, okrywając rękę jej pocałunkami:

— Nie, mammo, jesteś w Litowie i nie puścimy cię ztąd... nigdy, nigdy!

Chora spojrziała w twarz dziewczynki i uśmiechnęła się do niej.

— Tak nic nie wiem, co się ze mną dzieje — szepnęła — coś mi się śni... wszak to wszystko prawda? Elżunia mówiła mi „mamo”.

Upłynęło jeszcze dni parę. Pani Mierznička była już zupełnie przytomna i może byłaby mogła wstać, gdyby nie poraniona bardzo silnie noga, która ją jeszcze parę miesięcy w łóżku trzymać miała. Robiono właśnie chorej bardzo bolesny opatrunek. Z oczu mimowoli łzy bólu jej płynęły, ale usta się uśmiechały.

— Ach, Boże — zawołał mąż, trzymający ją za rękę — jak ty cierpisz!

— Cóż znaczy cierpienie, gdy się jego kosztem zdobyło serce... serce dziecka! — rzekła łagodnie, nie przestając się uśmiechać.

Elżunia była już na kolanach obok jej łóżka.

— Będziemy się teraz bardzo kochały, nieprawdaż? — zapytała p. M. patrząc w jej oczy.

— Ja nie jestem godna twego przywiązania, mamusiu — zawołała Elżunia — muszę dopiero na nie zasłużyć.

BAL KOSTIUMOWY.

Było to w zapusty, przed imieninami pani R.. matki kilkorga młodszych dzieci i szesnastoletniej starszej córki, slicznej i miłej Helenki, ukochaney zarówno od rodzeństwa, jak od rodziców. Bracia i siostry nic nie postanowili bez jej porady i teraz przyszli do jej pokoju, żeby im pomogła urządzić jakąś niespodziankę dla matki.

— I owszem — odrzekła — ale spodziewam się, że w tym roku jako już starsi, sami coś wymyślicie.

— Kiedy to najtrudniej — rzekła jedenastoletnia Zosia — mnie już coś nawet przychodziło na myśl, ale wcale nie mówię o tem, bo to niemożliwe...

— No powiedz zawsze, to wtedy zobaczymy.

— Mama opowiadała nam kiedyś o slicznym kostiumowym balu, na którym była za młodu, wszyscy tam byli poprzebierani w stroje różnych narodów, a nawet za kwiaty, motyle, ptaki... Na imieniny mamy będziemy mieć dużo go-

ści, przyjadą też wujaszek i ciocia z dziećmi, więc dzieci tych razem z nami będzie spora gromadka... Byłoby zatem slicznie gdybyśmy się wszyscy poprzebierali i weszli niespodziewanie w tych ubiorach...

— Doskonały pomysł — zawołał, klaszcząc w ręce Józio — przebierzemy się, przebierzemy i mama mieć będzie bal kostiumowy! A przytem jaka przyjemność i zabawa dla nas!

— Dziecinny jesteś, Józio — zawołała Zosia — to przecież nie tak łatwo, bo skąd wziąć tych ubiorów, tak dla nas jak i dla innych dzieci?

— Helenka je robi — odparł Józio, pewien, że dla starszej siostry niema nic niepodobnego.

— Ależ zrozumże przecież, że na to potrzeba wielu rzeczy, których nie mamy, a z niczego, nic zrobić nie można...

— Z niczego, zapewne — odezwała się Helenka — ale przy jakichkolwiek środkach i dobrej woli, zawsze radzić sobie jakoś można... Podejmuję się przeto dostarczyć wam wszystkim potrzebnych kostiumów, jeżeli się będziecie dobrze uczyć i sprawiać przez cały czas jaki upłynie do imienin mamy. Wszystkie dzieci rzuciły się uradowane na szyję siostry, przyrzekając uczynić wszystko, czego od nich wymagała.

Gdy nadszedł dzień niecierpliwie przez dzieci oczekiwany, zjechali się liczni przyjaciele i krewni pp. R. Na wieczór spodziewano się jeszcze więcej osób z sąsiedztwa, po obiedzie więc wszyscy nowoprzybyli przeszli do swoich pokoi, aby się przebrać i spocząć po trudach kilkomiłowej podróży. Zapalono tymczasem światła w salonie, i gospodyni ubrana jak zwykle najpierwej, poszła oczekiwać tam gości. Za ledwie wszakże uchylwszy drzwi stanęła w progu, nie mogła wstrzymać okrzyku podziwiania, bo przedstawił jej się widok prawdziwego kostiumowego balu... Dzieci jej i dzieci przyjezdnych, roiły się gwarno w najrozmaitszych przebraniach, wyglądających bardzo ładnie...

Myślicie może, że miały one ubiory, na które wyszło mnóstwo materyi, koronek, wstążek i t. p.? Nie, bynajmniej. Helenka z wielką, wrodzoną sobie zręcznością i dobrym smakiem, urządziła ich przebrania w ten sposób, że do zwyczajnych sukienek, dodała tylko jakieś charakterystyczne oznaki tego co przedstawiać miały. I tak: Tyrolczyk miał jedynie uszyty jej ręką spiczasty kapelusz z piórkiem. Dziewczynka przedstawiająca boginię Dianę, miała we włosach misternie zrobiony ze złożonego papieru półksiężyc, inna znów występująca jako papuga, szeroki czub w kształcie korony (z białych piór indyczyk) i także skrzydła. Motyle miały z drucików, wąsy i paciorkowe oczy na głowie, a u ramion skrzydełka różnokolorowe ze sztywnego muślinu, rozpiętego na drucikach... Pani R. ucieszyła się niezmiernie miłą niespodzianką; przybyli goście podziwiali zręczność i pomysły Helenki, a wszystkie dzieci ubawiły się doskonale swemu przebraniem. Jako wzór do podobnej zabawy podajemy rycinę przedstawiającą niektóre ubiory z tego kostiumowego balu.

W Japonii.

III.

Corocznie w dzień nowego roku ogłasza się konkurs na jakiś utwór poetyczny i wszyscy Japończycy bez wyjątku mają wówczas prawo współubiegania się o laury. W dniu oznaczonym rękopisy muszą być przysłane na dwór cesarski, a kompetentni sędziowie po dokładnem ich ocenieniu wręczają pięć najlepszych utworów cesarzowi, co daleko większy stanowi zaszczyt, niż najpoehlebniejsza ocena jakiego znakomitego europejskiego krytyka. O zaszczyt ten współubiegają

się nieraz kobiety z wyższych i średnich warstw społecznych. Często też zwolennicy i miłośnicy poezji, mający wstęp na dwór cesarski, schodzą się do pałacu i ku wielkiemu zadowoleniu ich cesarskich mości, urządzają tak zwane poetyckie turnieje.

W pensjonacie założonym przez cesarżową dla córek japońskich panów, główny nacisk kładą na naukę języka literackiego *) piśmiennictwa i stylu. Na kierowniczkę tego zakładu wybrano jedną z najszlachetniejszych, najenotliwszych i najwykształceńszych kobiet w całym cesarstwie.

Cesarżowa Haru-Ko, pochodząca ze szlacheckiej rodziny Iszjo **) poślubiła swego małżonka w r. 1868, t. j. wkrótce po objęciu przezeń tronu i zniesieniu sajunatu. Młoda monarchini, wychowana na cichym i poważnym dworze w Kioto została nagle powołaną do odgrywania roli, do której wychowanie nie przygotowało jej wcale, do spełniania nieznanych dotąd obowiązków. Zamiast pozostać w cichym ustroniu, nie widząc nikogo i nie będąc widziana, musiała wystąpić na widownię i zetknąć się z nowym dla siebie światem. Należy przyznać, że podjęła się odważnie swego zadania i spełnia je z wytrwałością, świadczącą o szlchetnym sercu, oraz wyższym prawdziwie umyśle.

Od r. 1871, w którym wysłała pięć młodych dziewcząt do Ameryki, w celu poznania cywilizacji tak odrębnej od japońskiej, cesarżowa aż do dnia dzisiejszego walczy niezłomowanie w obronie praw kobiety.

Popularność jej jest tak wielka, że Japończycy opowiadają sobie mnóstwo ciekawych i charakterystycznych epizodów z życia swej monarchini. Gdy przed kilku laty spalił się pałac cesarski w Tokio, para cesarska musiała szukać dla siebie schronienia w domu pewnego daimiosa, który chociaż książęcą był rezydencją, w bardzo jednak smutnym znajdował się stanie. Niektórzy dworzanie ubolewali wówczas, że cesarżowa została na czas pewien pozbawiona wygod, do których przywykła. Słyszając to Haru-Ko, odpowiedziała ładnym wierszem, w którym głosiła, że nie troszczy się wcale o ubóstwo swego mieszkania, jeżeli tylko w sercu narodu znalazła dla siebie miejsce.

Innym razem dowiedziawszy się o chorobie pewnego męża stanu, który podczas ostatniego politycznego przewrotu oddał wielkie cesarzowi usługi, Jej cesarska mość postanowiła go odwiedzić, chory jednak kazał ją przeprosić i oświad-

*) Współczesny język japoński dzieli się na trzy odrębne gałęzie, to jest na język popularny, używany w potocznej rozmowie, literacki, którym się piszą dzieła naukowe i klasyczne, i listowy. Pomiędzy trzema temi językami tak wielka istnieje różnica, że Europejczyk, mówiący biegle pierwszym z nich, nie może częstokroć zrozumieć ani jednego wiersza w poważnej jakiej książce, ani nawet listu.

**) Na cesarżowe wybierają się zwykle córki pięciu szlacheckich rodzin zwanych Kuge i posiadających wyłącznie ten przywilej. Dawniej córki cesarskie nie wychodziły nigdy za mąż, gdyż je poczytywano za istoty daleko wyższe od reszty ludzi. Zwykle więc zostawały one kapłankami w sintoickich świątyniach, albo zakonniami buddyjskimi.

czyć, że nie może jej przyjąć podług wymagań etykiety. Dowiedziawszy się o tem Haru-Ko, odparła, że nie cesarżowa przybywa doń w odwiedziny, ale córka jego przyjaciela i towarzysza broni Iszja, poczem wbrew wszelkim przepisom etykiety, weszła do pokoju chorego i zasiadła przy jego łożu, aby go jak najtroskliwszą otoczyła opieką.

Wiadomo powszechnie, że mnóstwo szkół i zakładów dobroczynnych ma w cesarżowej nie nominalną, ale rzeczywistą protektorę, gdyż zacna ta monarchini oszczędza o ile możliwości swoje dochody, aby móżdż wspierać szpitale, szkoły, laboratoria i inne instytucje, które sama bardzo często odwiedza. Wówczas nawet, gdy jej kasa zupełnie się wypróżni, Haru-Ko znajdzie jeszcze jakieś pieniądze na kupno zabawek, które rozdaje sama pomiędzy ubogą dźwiatwę z przytułku.

Najbardziej jednak na sercu Haru-Ko leży pensjonat, założony przez nią dla dziewcząt z arystokratycznych rodzin, które mają kiedyś na dworze rozmaite piastować godności. Podczas ceremonii otwarcia tego zakładu, cesarżowa wygłosiła bardzo piękną przemowę do uczennic i od tej chwili bardzo często je odwiedza. W dni największych uroczystości dziewczęta, stojąc z głową schyloną, jakby do modlitwy, śpiewając pieśni, ułożone dla nich przez cesarżową, egzaminom zaś przysłuchuje się Haru-Ko z jak największym zajęciem, każąc sobie zarazem przysyłać najlepsze rysunki i zadania stylowe, które zachowuje jako pamiątkę w jednym z prywatnych swych apartamentów. Nieraz zwiędza klasy, zasiada na czas niejaki, słucho wykładów, zadaje pytania i bystrym wzrokiem bada fizyognomie odpowiadających uczennic. Niekiedy nawet bywa na lekcjach szycia i gotowania, udzielanych również młodym arystokratkom.

Pewnego dnia podczas jednej z takich wizyt, cesarżowa zauważyła niezręczność małej jakiejś księżniczki, którą narpstek i długa igła w wielki wprawiły kłopot. „Szyjesz po raz pierwszy, księżniczko, nieprawdaż? — zapytała z uśmiechem Haru-Ko.” Dziecię wyznało otwarcie, iż rzeczywiście nigdy mu w domu nie dawano do ręki podobnych narzędzi.

Miss Bacon w następujący sposób opisuje jedną z takich wizyt Jej cesarskiej mości.

„Wchodząc na wschody ujrzałam najprzód przepyszne przedmioty ze srebra i laki, które niesiono do apartamentu przeznaczonemu dla Jej cesarskiej mości. Na dziedzińcu gromada kulisów w niebieskich szlafrokach odpoczywała po trudach, tu i owdzie snuli się mężczyźni, głośno wydając rozkazy, panie tylko daleko większy zachowały spokój. Co do mnie, to nie wiele miałam do czynienia, bo uczennice moje na razie były zajęte przyrządzaniem obiadu dla swej monarchini. Ponieważ po raz pierwszy dopiero miałam być świadkiem podobnej ceremonii, a nawet czynny wziąć w niej udział bałam się więc okropnie, czy zdołam należycie wywiązać się z mego zadania.

(d. n.)



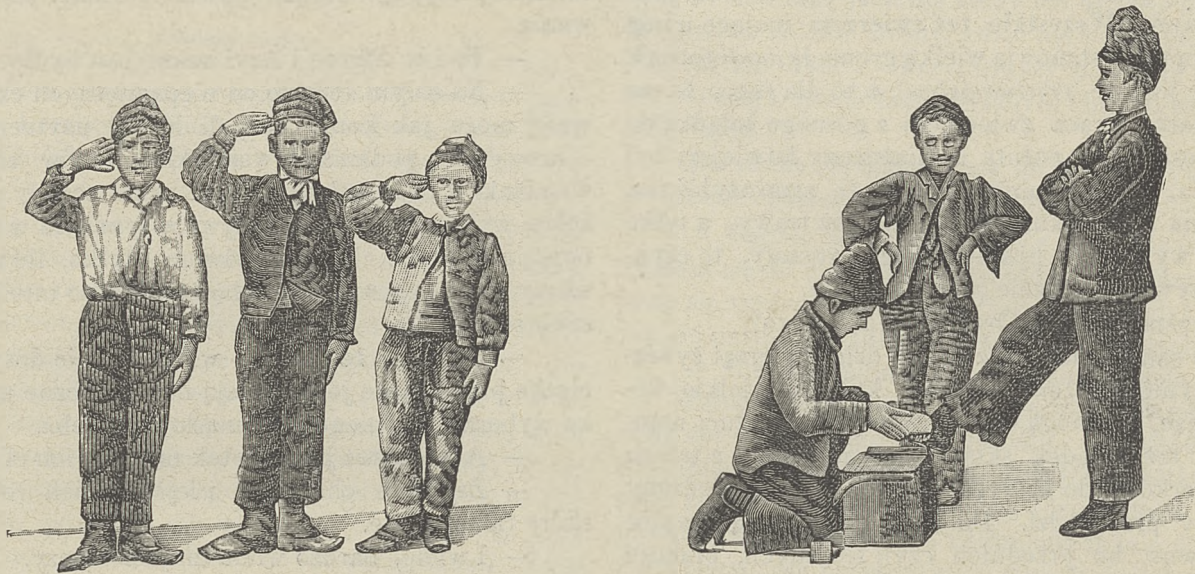
PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Helena Budzińska (kartka ze wspomnień dawnej uczennicy). — W pustyniach Australii p. Władysława Umińskiego. — Okrutna roślina (z drzew.) — Ona p. Zofię Kowerską. — Bal kostiumowy (z drzew.) — W Japonii. — Dodatek: Odważni pracownicy, wiersz p. E. L. (z drzew.) — Pogadanka z wujaszkiem. — Opowiadanie starszej siostry, z angielskiego M-ss Molesworth. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek książkowy: Dla szczęścia rodziny. Przekład Maryi B.

WIECZORY RODZINNE.



ODWAŻNI PRACOWNICY,

— Najniższe ukłony! o państwo kochani!
Nie sądźcie, że myśmy żebracy.
Wszak chęci żebraka, nikt w ludziach nie gani,
Nie chcemy jałmużny, lecz pracy.
Tak, wszyscy pragniemy pracować potrosze,
Na ludzi się chcemy sposobić.
I miłe nam będą z rąk waszych te grosze,
Co w znoju je dacie zarobić.
My jeszcze tak młodzi! toż Boże mój miły!
I świat nam otwartym się zdaje
I z losem w zapasach nie zbraknie nam siły;
Albośmy to jacy mazgaje?

Ruszajmyż więc naprzód!... najcięższy początek,
Choć własny zarobek tak słodki,
Wszak w mieście i dla nas gdzieś znajdzie się kątek,
A błyszcz też nie drogi i szczotki.
W dzielnicy gdzie strojni przechodzą panowie,
Nie trudno pracownię otworzyć.
Wnet spłynie zarobek, gdy każdy się dowie,
Że buty umiemy chędożyć.
Żebractwo poniża, występek zaś plami,
Więc w pracy szukając swej broni,
Grożącej nam nędzy nie dajmy się sami,
A Bóg nas od zguby zasłoni.

E. L.

POGADANKA Z WUJASZKIEM.

Wół i krowa

Dzień był pogodny i niezbyt gorący, więc gdy wuj wychodził w pole przywołał Władzia, by mu towarzyszył. Ruchliwy chłopiec żwawo i z radością pospieszył na wezwanie, a idąc obok wuja opowiadał mu z ożywieniem, jak właśnie w ogrodzie ścigał wiewiórkę skaczącą po drzewach z gałęzi na gałąź; wreszcie zapytał:

— Czy idziemy teraz do żniwiarzy, wujku?

— Przed kilku godzinami już tam byłem konno, bo dzisiaj sprzątają pole zbyt odległe na spacer pieszy; myśle jednak, że z równą przyjemnością popatrzysz jak się to pługiem orze rolę, żeby ją przygotować do nowego zasiewu.

— A czy to konie ciągną pługi?

— Do orki używamy chętniej wołów niż koni, bo są to też zwierzęta wielkiej siły i choć powolniejsze, wytrzymalsze od naszego konia. Ta ich powolność ruchów, jest nawet w rodzaju pracy do jakiej są przeznaczone, raczej zaletą niż wadą.

— Ale woły nie są wcale ładne.

— Rzeczywiście bydlę rogate nie odznacza się ogólnie pięknnością kształtów, lecz są to bardzo pożyteczne zwierzęta.

— Proszę wujka, owieczki też mają rogi, czy to także bydlę rogate?

— Owce, choć mają główne cechy wspólne z bydlęm, różnią się jednak od nich o tyle, że je już do innego rzędu zwierząt zaliczono. Pod nazwą bydlę rogatego rozumiemy woły i krowy z domowych, i wiele odmian

zdziczałych lub całkiem dotąd dziko żyjących zwierząt; jest to rodzina bardzo liczna.

— Nie patrzyłem nigdy czy bydlę ma też kopyta.

-- I owszem, nogi wołu i krowy, jako i wielu jeszcze innych zwierząt zakończone są kopytami takimi, które nie obejmują już jedną pochwę całej kończyny nóg, ale rozdzielają się jakby na dwa wielkie palce, u bydła raciami nazywane. Wszystkie też zwierzęta mające u nóg takie dwa kopytka, stanowią wielką gromadę *dwukopytnych*. Nazywają je jeszcze *przeżuwającymi*, a to dla tego, że raz spożyty pokarm wraca zwierzęciu z górnego żołądka do pyska aby jeszcze raz pożuty i zmiażdżony łatwiejszy był do strawienia. Przypominam sobie, że zauważyłeś raz, jak krowy na pastwisku, nie skubiąc już trawy, a tylko leżąc sobie wygodnie, pyskiem ciągle ruszały, tę czynność ich nazywamy właśnie przeżuwaniem.

— A czemu to tylko bydlę tak przeżuwa?

— Nie samo bydlę, lecz wielki dział zwierząt żywiących się jedynie świeżymi trawami, które w wielkiej ilości spożywając, nie mogą odrazu należycie przeżuć; natura dała im też żołądek składający się jakby z trzech osobnych worków, do których kolejno pokarm zjedzony lub przeżuty przechodzi. Do tego zucia mają również i zęby stosowne, bo przednich czyli siecznych, brakuje niektórym gatunkom w górnej szczęce, natomiast trzonowe są szerokie i płaskie, jakby małe kamyczki młyńskie.

— A czemu to nie wszystkie krowy i woły mają różnego kształtu i wielkości rogi. Raz widziałem w Warszawie, jak pędzili z Pragi bydlę, o takich długich rogach jak moja ręka, a przecie te które tu widzę, mają je niezbyt duże.

— Długość rogów i kształt ich, jako też i kolor czyli maść sierci zależy od rasy bydła. To które w Warszawie widziałeś jest to bydlę stepowe, oprócz tych rogów niezmiernych, wyróżnia się stale siwą maścią, jest ono rosłe a mięso jego smaczne. W Holandyi na obszernych pastwiskach hodują bydlę maści czarnej w białe łaty, nie jest ono zbyt wielkie, ale krowy wydają nadzwyczaj wiele mleka. Cenioną jest też wysoko rasa bydła szwajcarskiego, przeważnie także dla wyborowego mleka, z którego wyrabiają sławne sery szwajcarskie.

— Prawda wujku, że niebezpiecznie jest zbliżać się do bydła, bo może zabić lub skaleczyć rogami.

— Ogólnie są to zwierzęta spokojne, jeżeli jednak ktoś źle się z nimi obchodzi i drażni, wtenczas naturalnie bronią się tem, co im natura dała do obrony, to jest rogami.

— A czy u wszystkich gatunków bydła poznać można odrazu, że tworzą jedną rodzinę?

— Są pewne drobne różnice, lecz ogólnie są to zwierzęta, o długim szerokim kadłubie, osadzonym na krótkich, silnych nogach. Pysk szeroki, nozdrza i chrapy nie porośnięte włosami, ogon długi zakończony sutą kiścią włosów; linja grzbietu ogólnie prosta; rogi wewnątrz puste, z kądem nazwa pochworogich, gdy raz wyrosną na szerokim czole zwierzęcia, służą mu już na całe życie.

— To woły, proszę wujka, tylko do pluga są zaprzęgane?

— W naszym kraju hodujemy woły przeważnie do uprawy roli, chociaż nie rzadko widzimy je u wozów, bo

są to zwierzęta wyłącznie pociągowe i juczne. Istnieje jednak w Azji gatunek zwany Zebu, który ma duży garb na grzbiecie; bogaci mieszkańcy tych krain używają go do konnej jazdy. W południowej Afryce dla przewożenia ciężarów przez znaczne, a puste przestrzenie, zakładają do jednego woza kilkanaście par wołów; zaprząg taki naturalnie postępuje bardzo powoli i trudny jest do kierowania.

— To i w Afryce i Azji znane jest bydlę rogate?

— Na całym świecie od niepamiętnych czasów, dawniej może jak konie poznali ludzie użyteczność wołu i krowy; w podaniach wszystkich ludów znajdujemy wzmianki o nich, a były nawet takie narody pogańskie, które wybranym i hodowanym w tym celu wołom cześć boską oddawały. Bo zastanów się tylko, ile to pożytku mamy z tych pocziwych, choć niebardzo inteligentnych stworzeń.

— Prawda, że bardzo wiele, bo nie dosyć, że tak ciężko pracują, ale jeszcze dają nam smaczne mięso, mleko wyborne, a z niego ser i masło do chleba.

— A wiesz też jaki użytek mamy z ich skór?

— Zapewne chomonta i lejce z nich robią, bo to skóry takie grube.

— I wiele, bardzo wiele innych rzeczy. Skóry bydląt wyprawione starannie, dają nam nasze codzienne obuwie, bez którego tak trudno byłoby nam się obejść. Cienka i delikatna skóra cielęca użyta jest na twoje i twej mamy buciki. Pokrycie powozów i karet, różne potrzebne w fabrykach pasy i rzemienie, wreszcie wiele drobiazgów w życiu codziennem używanych wyrabiają przeważnie ze skór bydlęcych.

— Czy wie wujaszek, że nigdy dotąd o tem nie myślałem; to może jeszcze co więcej oprócz skór, mięsa i mleka daje nam bydlę.

— Bez wątpienia; rogi jego, jak to już wiesz, puste, przy stosownem użyciu są giętkie i dają się wyciągać lub płasko rozłożyć; robią też z nich grzebienie do czesania, różne spinki, guziki i tym podobne rzeczy. Nadto z łoju bydląt przygotowują świece, a nawet mydło do prania i mycia; kości ich wreszcie używane są w cukrowniach przy fabrykacji cukru.

— Wujaszek mówił, że bydlę żyje też jeszcze dziko, czy to w Europie, czy też w jakiej innej części świata możnaby je widzieć?

— W Europie żyją dziko tylko już żubry w puszczy Białowieskiej, różnią się one głównie od naszego wołu kędziorami pokrywającymi łeb i szyję zwierzęcia. Dawniej w tych samych okolicach mieliśmy podobne do nich tury, dziś zupełnie wyniszczone przez ludzi. W Ameryce na obszernych pastwiskach zwanych preriami, żyły całymi stadami bawoły uważane za najdziksze z tego gatunku zwierząt; dziś już tak przez ludzi wyniszczone, że pozostało ich bardzo niewiele. Krajowcy urządzali na nie wielkie oblawy, połączone z niezmiernym trudem, a nawet niebezpieczeństwem. Wreszcie w okolicach podbiegunowych Ameryki, żyje dziko tak zwany wół piżmowy, najmniejszy może z gatunku bydła, stanowi on jakoby przejście od wołu do owcy.

OPOWIADANIE STARSZEJ SIOSTRY.

z angielskiego

M-SS MOLESWORTH.

(Dalszy ciąg).

Nie wiem, czemu wyobrażałam sobie, że sami pojedziemy do Londynu. Nie było to bynajmniej zamiarem rodziców. Chcieli oni odprowadzić nas do stryja Franciszka i zabawić tam ze dwa tygodnie, abyśmy mieli czas przyzwyczaić się do nowego trybu życia. W ostatniej jednak chwili wszystko uległo zmianie. Ojciec otrzymał niespodzianie rozkaz przyspieszenia wyjazdu, tak, że musiał się wyrzec pierwotnych projektów. Dla matki był to nowy cios, ale trzeba się było ze swym losem pogodzić. Na szczęście była niedawno w Londynie i załatwiła ze stryjem Franciszkiem wszystko co załatwić należało, a do tego pozostawała nam Kasia. Postanowiono tedy, że rodzice pojedą wprost do brzegu morza, gdzie wsiądą na statek, my zaś puścimy się w drogę z naszą nianią. Cóż wam powiem o ostatnim dniu i chwili pożegnania? Były to przejścia bardzo smutne dla nas i dla matki naszej. Biedna, droga mateczka! Jak bolesne godziny przeżyła w tym samotnym domu, w naszym opustoszałym pokoju!... Obecnie nieraz powiada mi ówczesne swoje troski!... Najprzykrzejszą była jej myśl, że już nigdy, nigdy nie zobaczy nas takimi, jakimi byliśmy w chwili rozstania... Trzy lata tyle zmian przynoszą w tym wieku! Za jej powrotem Józio będzie umiał czytać, nauczy się tego bez jej pomocy. Tomcio tak wyrośnie, że nie potrafi pieścić się z nią, jak to czynił całymi dniami, a Zosia (ja) będzie już prawie dorosłą panienką... Ojciec odwiózł nas na kolej. Zanosiliśmy się wszyscy od płaczu... Nawet Tomcio, który miał sobie za punkt honoru okazywać się mężnym w zwykłych okolicznościach i byłby wolał palec sobie dać uciąć, niż do smutku się przyznać, aż zapuchł od płaczu.

Wkrótce zamknięto nas w wagonie. Tatusz stał na stopniu dając ostatnie polecenia. „Słuchajcie Kasi. Bądźcie grzeczni. Ty Zosiu pisuj do nas. Nie płaczcie moi najdrożsi!” Ucałował nas raz jeszcze przez okno wagonu, ściskaliśmy go mocno wszystko troje. Rozległ się dźwięk gwizdawki, poczęliśmy wołać: „Żegnaj nam, żegnaj!” — i pociąg nas uniósł.

Z początku słychać jedynie było nasze łkania. Na szczęście w przedziale wagonu była z nami tylko pocziwa Kasia. Opóźniła ona termin swego ślubu o kilka tygodni, aby mieć czas oswoić nas z nowym otoczeniem w Londynie i obznajmić swą następczynię z naszymi nawykami. Ona także płakała, dowodził tego zaczerwieniony nos i powieki, mimo to starała się nas pocieszać, wzięła Józia na kolana, Tomcia objęła ramieniem, a na mnie spoglądała pełnym współczucia wzrokiem.

— Biedne maleństwa — powtarzała głosem tak zrozumiałym, że Tomcio i Józio nie pomni swego strapienia, całować i pocieszać ją poczęli.

W rzeczy samej był to smutny widok: trzy małe bie-

dne stworzonka opuszczające swój zaciszny pokój, białe łóżeczka, w których ich do snu kołysała matka, śliczne, troskliwie pielęgnowane ogródki, słowem wszystko co im dotąd radość sprawiało, a dążące na los szczęścia w świat im nieznany, do tego Londynu, gdzie tysiące obcych osób ich otoczy, gdzie inne chłopcy i dziewczynki będą z rodzicami, podczas kiedy ich ojciec i matka odjeżdżają się w dalekie strony, gdzie nie będzie ani Zosi, ani Tomcia, ani Józia!... Przytuliwszy do siebie Józia, z głową wspartą o ramię Kasi, byłabym chętnie zapłakała nad dolą naszą.

Dotąd nie byliśmy zbyt do niani przywiązani, ale w naszym opuszczeniu stała się ona jedyną pociechą.

— Bardzo rada jestem, żeś z nami pozostała — odezwał się do niej z wdzięcznością. Wyrazy moje zdawały się zarówno cieszyć ją, jak dziwić, gdyż nie należałam do natur zbyt tkliwość swą objawiających.

— Biedna panna Zosia — odpowiedziała mi tylko.

Zaległo milczenie, cóż mogliśmy do siebie mówić, coby nie rozdrażniało naszego bólu. Wkrótce zaczęło się ściemniać, działo się to zimą, dni były krótkie; wyczerpani, znużeni płaczem, Tomcio i Józio zasnęli. Przez sen nawet ciche westchnienia i tłumione łkanie dobywały się z ich piersi, ale przynajmniej stracili świadomość swego smutku. Co do mnie, siedziałam nieruchomie w kąci, z wzrokiem utkwionym w posępną okolicę, którąśmy przebiegali całą siłą pary i rozmyślałam w jaki sposób mogłabym przypodobać się mamie podczas jej nieobecności. Postanowiłam sobie być bardzo dobrą dla Tomcia i Józia, postępować wzorowo, stać się porządną (nieporządek był główną moją wadą) pilnie się przykładać do lekcyj, gry na fortepianie; poświęcenie z mej strony niemałe, gdyż nie miałam wcale zdolności do muzyki.

Mama na wyjeździe podarowała mi śliczną teczkę, zawierającą wszystkie przybory do pisania: papier listowy, koperty, atrament, pióra, niczego tam nie brakowało, był nawet lak i mała pieczętka z kości słoniowej, która mnie dumą przejmowała. Obiecałam pisywać co tydzień. Przyszło mi na myśl, ile to mieć będę do opowiadania w pierwszym moim liście! Doznawałam wrażenia, jak gdyby Bóg wie jak długi czas dzielił mnie od chwili rozstania się z rodzicami. Przywiodło mi to na myśl stryja Franciszka. Jakże on też robi na mnie wrażenie? Przypominałam go sobie bardzo nie jasno.

Czy go polubimy? Jak wyglądać będzie dom jego, nasz pokój, nowa nasza dozorczyni? Jakiem będzie życie nasze w Londynie? Słowem, nasunęło mi się tyle pytań nie rozstrzygniętych, że wreszcie znużona niemi, usnęłam. Śniłam, że jestem na pokładzie statku, który uwoził ojca i mamę i że stryj Franciszek miał postać owej pani zwiedzającej nasze mieszkanie. W moim śnie okręt wyglądał jak dom, który się posuwał na kołach z hałasem przypominającym huczenie kolei żelaznej. Stryj, dziwnie podobny do Kasi, pochylał się nademną powtarzając:

— Biedna panna Zosia! — Nagle przyłączył się głos drugi i usłyszałam wyraźnie wymówione, tonem poważnym i dźwięcznym następujące wyrazy:

— Jakto! śpią wszystko troje! Proszę mi dać jedno z nich, postaram się je przenieść nie budząc.

Za siwka zapłacił 1000 rs. za karosza 720 rs.

Skrzynka do listów.

Długie, zimowo wieczory zostawiając poza obowiązkiem zajęciami więcej wolnego czasu młodym naszym korespondentom, przyczyniają się zapewne do tego, że otrzymujemy od nich częściej utwory ich wyobraźni i łamigłówki własnego układu. **Janinka Gor.** nadesłała udatne bardzo wierszyki, treść ich jednak tak smętna, że trudno uwierzyć iż są wyrazem uczuć tak młodej istoty. Wprawdzie dla każdego na ziemi wyznaczono dni smutku i żaloby, ale Bóg w miłosierdziu swoim daje im przy tem jasne i pogodne chwile, a takimi są niewątpliwie chwile młodości, opiewane przez naszą poetkę **Gabryelę** słowami: „Szczęściem są nasze lata dziecinne, w pól młodociane, a w pól niewinne. Korzystajcie więc z tych „błogosławionych dni wiosny waszej” i jak skowronki, śpiewający pieśń poranną na chwałę Bogu i pociechę ludziom, nućcie pieśń swobody i wesela, rozjaśniającą myśl i oblicza tych, którym trudy i zawody życia zasępiły czoło i zraniły serce.

Marychna z Z. na podobnie smutny ton nastroiła lutnię swoją, kreśląc obrazek: „Jeszcze zdążę.” Rozwinięciem tematu trafnie wykazała, ile strat człowiek ponosi, na jakie naraża się przykrości przez opóźnianie się i nieakuratność w życiu. Myśl logiczną jednak, zbyt ciemnymi przyobłektu szatami i nieprawdopodobnym wydać się musi fakt iżby córka dążąca do umierającej matki marudziła z wybraniem się w drogę, gdyż w takich chwilach twoga o ukochanych, najbardziej opieszalej istocie skrzydła do ramion przypinać zwykła.

Róża z Tanenbergu powiadamia nas o fikcyjnych, czy też rzeczywistych szczegółach doli biednej sieroty, przygarniętej i wychowanej troskliwie przez jej matkę, a odplacającej następnie brodziejstwo to, wierną służbą w domu swej opiekunki. Sens moralny wypływa z tego, że dobry uczynek obu stronom korzyść zwykłą przynosić, bo jeśli **Marysia** szczęśliwą nazwać się mogła, będąc pod kierunkiem zacnej, litościwej pani, pani ta nagrodzoną została za swą dobroć, zyskując wierną, przychylną służącą, prawdziwy skarb dla osób, umiających go ocenić.

Biały konwalii dziękujemy za sympatyę dla naszego pisma. Z uczynionej nam propozycji korzystać nie możemy, bo w liczne grono naszych współpracowników mamy już do każdego działu odpowiednie osoby, w miejsce których innych mieć nie możemy. „Przygody dwojga sierot” przesłane zostały.

Na sążniste, zapowiedziany list **Żabki teterowskiej** oczekiwać z niecierpliwością będziemy, a tymczasem posyłamy początek drukującej się powieści. Zadania i łamigłówki dobrze odgadnięte.

Elck C. trafnie również rozwiązał kwadrat magiczny.

Dwóm siostrzyczkom **Helence** i **Maryi** dziękujemy za ich dobre chęci i nie omieszkały z nich skorzystać, jeśli szarady i łamigłówki do druku nadawać się będą.

Z. Chwiał. uczeń i **kiasy** dobrze, jak widać poznajomiony z zasadami ortografii, jeśli rażą go błędy pisowni, dostrzeżone w układzie łamigłówki kropkowanej. Błędy te z samowiedzą popelnione o tyle uwzględnione być muszą, o ile w układaniu takich zadań nieuniknionymi się okazują.

Janina Rem. była jedną z pierwszych w nadesłaniu dobrego rozwiązania szarad i łamigłówek.

Słuszną jest uwaga korespondenta z nad **Łupi** co do zgłoski pominiętej przez pomyłkę drukarską.

Em dobrze rozwiązuje zagadki i szarady.

Za nadesłane przez **Żmudźlna** ubrania i bieliznę, chory chłopiec serdecznie zasyla podziękowanie.

Przesyłkę **P. K. B.** odebraliśmy. Jeżeli to okaże się możliwym, zrobimy z niej właściwy użytek.

— Zaraz proszę rana — odpowiedziała Kasia, trącając mnie lekko. — Obudź się panienko, jużemy przyjechali, a to stryj panienki.

Otworzyłam oczy bardzo niechętnie. Byłam zmęczona, chciało mi się spać, nie miałam ochoty się poruszyć.

— Nie sądziłam, że tak prędko zajedziemy — mówiła dalej Kasia, zwracając się do stryja. — Trzeba mi było wcześniej ich pobudzić. Dalej panno Zosiu, dalej śmiało!

— Czyś bardzo zmęczona Zosieczko? — spytał stryj stawiając mnie na ziemi.

(d. c. n.)

SZARADA.

Trzy głoski, ucząc się każdy wie,
Że w nich spółniki dwa łączą się.
Razem olbrzymi gad żyjący
W strefie gorącej.

ŁAMIGŁÓWKA W KRATKACH.

ułożył Jan Szm.

a	L	W sześciu rzędach ozna-
b	. 2	czonych literami ułożyć
c	. . 8	wyrazy sześciogłoskowe,
d	. . . 4	których litery oznaczone
e 5	liczbami złożyć powinny
f 6	nazwę stołecznego miasta

razów: 1) Wyspa na Oceanie Indyjskim. 2) Królestwo w Azji. 3) Godło królewskie. 4) Miasto nad rz. Bystrzycą. 5) Wyrażenie włoskie używane w muzyce. 6) Stan w Ameryce północnej.

ROZWIĄZANIA DO N-ru. 4-go.

Szarady: Fa — wor — ki.

Łamigłówki w kratkach:

L a b i r y n t
B e r e z y n a
D r o m a d e r
L i n n e u s z
H a n n i b a l
T o r e a d o r
P a r a g u a j
H o n d u r a s